

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

GDZIE NAGRODA?

Był to raz chłopak, jakich dziś mało:
Serduszko jego wszystkich kochało;
Cichy, posłuszny, cierpliwy, zgodny,
Uśmiech na ustach i wzrok łagodny,
Dla wszystkich grzeczny, wszystkim życzliwy,

Jakże być musiał szczęśliwy!

Jeżeli szczęściem nazwać zechcecie,
Że w sercu błogo, choć źle na świecie;

Jeżeli cichych lez nie liczycie:

Było to bardzo szczęśliwe dziecię.

W sumieniu szukał cierpień osłody,

Unikał pochwał, nie chciał nagrody,

Co dobre — dobre, nie pytał dalej:

— Rodzice — mówił — tak nauczali,

Dosyć to dla mnie, szczęśliwym sobie;

Tak Bóg przykazał, tak ja też robię! —

St. Jachowicz.



O trzech siłaczach,

Żelazołomie, Kruszyskałe i Waliborze.

(Ciąg dalszy.)

— Szczęść Boże! — rzekł Żelazołom. — A czy to tak wiele siły masz, że w dłoniach takie kamienie kruszysz?

— Tak — ów odpowiada — tyle mam siły, że aż gniewam się nad tem, gdyż za to wiele robić mi każą.

— To też zarobisz wiele — powiada Żelazołom.

— A gdzie tam — odpowiada — ja odrabiam tylko pańszczyznę i za to mi nikt nie płaci; że zaś tak łatwo te kamienie mogę kruszyć, nazwali mnie Kruszyskałą.

— A więc, panie Kruszyskało, chodź ze mną w świat, może tam gdzie lepszy zarobek znajdziemy.

Kruszyskała usłuchał, porzucił kamienie i poszedł ze Żelazołomem. Szło im się teraz lepiej, bo we dwoje mogli też o tem i owem pogawędzić.

Gdy już tak kilka dni szli spolem, doszli wreszcie do ogromnego lasu. Nie bojąc się dzikiego zwierza, lub złego człowieka, gdyż oba tak mocni byli, weszli śmiało w las. Jak już kawał spory węń wleźli, usłyszeli straszny łomot, trzask i hałas, jakby się cały las walił. Podwoili kroku, by się o tem jak najprędzej dowiedzieć i wnet przyszedli na zrąb, gdzie ujrżeli tysiące robotników z piłami, z siekierami, a wszyscy pilnie pracują. Jednak wszystko to ich tak nie zdziwiło, jak jeden wysoki i barczysty chłop, który sam dla innych te drzewa walił na ziemię. Niósł on przed sobą w rękach poziomo jedno z najdłuższych i najgrubszych drzew, jakie w tym lesie urosło, a o które drzewo zawadził tem drzewem, to,

jeżeli były słabsze, łamał, jeżeli zaś grubsze, to wyrwał z korzeniami i wyracał.

Nasi podróżni obrócili swe kroki zaraz ku niemu, bo byli bardzo ciekawi dowiedzieć się, co to za człowiek.

— Szczęść Boże! — rzekli do niego. — A toć to bardzo się zmęczysz, waląc tak po kilka-
naście drzew od razu.

— To dla mnie nie trudnego, owszem, to mi z łatwością idzie — odpowiedział tenże.

— Ile też ty przez dzień zarobisz? — zapytali go.

— Wcale nie — odpowiada. — Ja tylko pańszczyznę odrabiam, a że to tyle drzew zdołam naraz powalić, nazywają mnie Waliborem.

— No, kiedy tak, to się przyłącz do naszego towarzystwa; my idziemy w świat, szukać szczęścia, i może, gdy nas będzie więcej, prędzej je znajdziemy.

Walibór usłuchał rady i poszedł z nimi.

Idą tak już kilka dni, a tu jeno las, a nie wiedzieli, w którąby stronę trzeba się obrócić, żeby prędzej z niego wyleźć. Naraz natrafiają w tym lesie chałupę. Weszli do niej, ale nikogo w niej nie zastali; sprzęty gospodarcze, jakie tam były, dały im poznać, że ona przecie musi być przez kogoś zamieszkała. Postanowili tedy, jeden w niej pozostać i nagotować obiad, gdy ci drudzy tymczasem mieli iść w las, by się przekonać, w którą stronę się udać trzeba, żeby prędzej wyjść.

Zostawiono więc Walibora w chałupie. Ten naniecił w piecu ogień, i krząta się koło obiadu. Gdy już się zaczęło w garnkach gotować, wchodzi do izby chłop, choć bardzo małego wzrostu, ale siadły, i z taką natarciwością skoczył do Walibora, że ten, choć taki siłacz, zląkł się nie mało. A potem go uchwycił pod gardło, i trzęsie nim jak osiką.

Walibór myśląc, że już nie jest nikt nad niego mocniejszym, dozwolił mu uchwycić się, a dopiero wtedy, gdy widział, iż to nie żarty, schwytał małego chłopka, i też nim potrząsał. Jednak nie sprostął jego sile i wnet też na ziemię powalony został.

Teraz dopiero ów chłopak swego dokazywał: zbił Walibora, ile mu się podobało, a potem wszystkie garnki z jadłem powywracał i poszedł.

Walibór, gdy się opamiętał, wstał, napełnił zaś garnce świeżem jadłem i warzył. Ale ledwie garnki do ognia przystawił, a tu przychodzi jego towarzysz z owej wycieczki i pyta go, czy obiad gotowy.

Ten się wymawia jak może i różne przyczy-
ny wylicza, dla których nie mógł na czas nago-
tować obiadu, ale jednak został wyłajany, bo się nie przyznał, co go spotkało.

Na drugi dzień zostawili Kruszyską w cha-
lupie, a ci dwaj znowu poszli w las. Ale i tego
to samo spotkało nieszczęście co Walibora. Gdy
zaś ci dwaj powrócili i go zapytali, czemu obiad

nie gotowy, to i on zamilczał o swej przygodzie.

Na trzeci dzień został Żelazołom. Ten się już bardzo pilnie krzątał koło gotowania. A gdy już wnet miał być obiad gotowy, wchodzi już nam znany chłopak i tak samo nań naciera. Lecz Żelazołom nie czekał, aż ten go uchwyci, ale porwał zaraz swój drąg żelazny i jak nie zacznie okładać! Ten widząc, że to nie prze-
lewki, dał drapaką i chciał uciec, ale nasz ku-
charz za nim. Pochwycił go i zaś wali drągiem,
a gdy widział, że już ma dosyć, uchwycił go za
włosy — bo miał bardzo długie — i przybił go
za nie do dębu chcąc go przytrzymać, aż
jego towarzysze powrócą. Gdy to zrobił, po-
szedł do chałupy i już też zatem się obiad dogo-
tował, ale też i ci z lasu powrócili.

Dziwilo to ich bardzo, jak on mógł dzisiaj
obiad na czas nagotować, gdy oni zawsze prze-
szkodę w tem mieli, ale jednak mu i teraz o tem
nie powiadali; poznał to jednak Żelazołom, co oni
myśla, i tak im powiedział:

— Gdybyście byli zawczasu bili chłopka,
nim was on pochwycił, tobyście byli zwyciężyli.

Oj, tak to i nasi przodkowie, gdyby byli
wprzód bili nieprzyjaciół, zanim im na skórę
wsiedli i za gardło ich uchwycili, to zapewne
byliby zwyciężyli. Ale zanadto blisko siebie
przypuścili wroga, a ten, gdy ich powalił na zie-
mię to też potem mógł bezkarnie gospodarzyć w
ich domach. Ale wracam do opowiadania.

— Chodźcie ze mną — rzekł Żelazołom — a
pokażę wam, jak to ja nieprzyjaciela upokorzyłem.

I prowadził ich do owego dębu, gdzie tego
chłopka za włosy przybił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wierny sługa i opryszki.

W 1741 roku bezbożny rozbójnik Dobosz,
osiadły z bandą opryszków w Karpatach, pusto-
szył spokojne wsie i miasta. Zbójcka pałka jego
roztrząsała niejedną niewinną głowę, a drapie-
żne ręce bandyty grabiły mienie pracowitych
obywateli i wieśniaków.

Cała okolica drżała na samo wspomnienie
Dobosza. Niewiasty o zmroku ukrywały dzieci
w kącie izby, przywierając drzwi chaty żelaznymi
zaporkami. Ciemny bór osłaniał siedlisko zbójców;
ztamtąd to oni, uzbrojeni w toporki i pistolety,
wymykali się o zmroku, niosąc wraz z sobą śmierć
i pożogę.

Niejedna wieś dymiała się niedopalonemi zgli-
szczami, a gospodarz nie śmiał się u stołu, nie
śmiał spocząć po pracy, z obawy, aby go nie
rozbudził Dobosz, stojący Dobosz nad łóżkiem.
Sprawiedliwość Boga dosięgła wkrótce zbrodnia-
rza; zginął marnie, powieszony na rynku powia-

owego miasta, w którym niejeden spełnił rabunek. Wiele jednak wprzód zostało sierot bez ojca, wielu ludzi bez mienia.

Do dziś dnia imię opryszka przeraża mieszkańców z okolic Karpat i Halicza. Chwila jego pobytu w górach była chwilą powszechnej trwogi i niebezpieczeństwa; a dla tej przyczyny zasługuje zdarzony przykład szlachetnej odwagi i poświęcenia wśród wielkiego niebezpieczeństwa na pamięć i na wspomnienie u potomnych.

Czwartego października 1741 roku, w wiosce Hołosków, położonej na Pokuciu w ziemi Halickiej, trzy mile od Stanisławowa, w modrzewiowym dworze, otoczonym zółklemi od jesieni lipami, rozlegał się cichy, stłumiony jęk pani Rozalii Karpińskiej, złożonej niemocą. Szafarka stała zamyślona nad łóżem swej pani, mówiącej słabym głosem:

— Więć już mąż mój wyjechał! Obowiązek obywatelski zmusił go do opuszczenia domu i żony w tak ważnej chwili! Biedny Jędrzej!

Szafarka nie nie odpowiedziała; usta jej były pobladłe przestraczem, a słuch wyteżony na słowa dolatujące z izby gościnnej, do której za chwilę weszła z pospiechem. Słudzy dworsey rozmawiali tam żwawo, zobaczywszy zaś wchodzącą szafarkę, jeden z nich — gajowy — powiedział:

— Marto! Opryszki najdalej za godzinę będą w Hołoskowie; już spłądowali wsie sąsiednie i cała banda ciągnie w tę stronę.

Stara jeszcze więcej pobladła i zakrywając twarz rękami, rzekła:

— A nasza biedna pani!... Pan musiał ją opuścić, któż ją obroni przed okrucieństwem zbójców?

— Nie ma tu co myśleć o bronieniu — przebrał gajowy — Komu życie mile, niech ucieka. Pałka Dobosza nikomu nie przepuszcza; ja pierwszy biorę nogi za pas. Człowiek tylko raz się rodzi, nie można tak łatwo życia na niebezpieczeństwo wystawiać. Cóż pani?... jak zbójcy zobaczą, że chora, to jej i dadzą pokój. Ruszajmy Januszu póki czas.

Janusz, stary sługa państwa Karpińskich, podniósł w górę swoje wychudłe ręce i rzekł z oburzeniem:

— Co? Jaby miał naszą biedną panią odstąpić i zostawić w takiej niemocy, żeby się nieboraczka zobaczyła sama wśród srogiej bandy, bez sług swoich i bez nikogo? A tożby mnie Bóg za to ciężko skarał! Nie, tego nie będzie! Kto chce, niechaj jako tchórz umyka; ja się polecam opiece Najświętszej Panny i zostaję. Marta niech natychmiast zarządzi wieczerzę; nie szczydzić wódki, chleba i baraniny; ustawić wszystko na stołach, aby uprzedzić zbójców.

Szafarka zeszła do kuchni i wnet wieczerza była gotową, stoły nakryte, dwór oświetlony jakby dla rozbrownienia opryszka i uczynienia go miło-

siernym dla chorej. Gajowy i Janusz trwali przy tem co powiedzieli. Pierwszy był nikiem tchórzem, drugi wiernym sługą. Pozostawał jeszcze karbowy, który wolał zatrzymać się przy Januszu, ze strachu, żeby go uciekającego opryszki nie złapali na drodze.

Dziesiąta wieczorem wybiła; wieśniacy pochowali się już wraz z dobytkiem. Wę wsi było ciche, przed dworem jakby wymiótł, tylko w ganku stał Janusz z latarnią w ręku, kiedy hałaśliwa banda zbliżyła się do niego.

Wierny sługa skłonił się Doboszowi i rzekł pokornie:

— Pana naszego nie ma w domu, pani leży bardzo chora, ale mimo to prosi was, żebyście przyjęli u niej ugoszczenie, bo wieczerza już jest gotowa.

Pokora starca, gościnność pani i zastawione stoły rozbroiły zbójców; wyili wódkę za zdrowie chorej, a Dobosz kazał się zaprowadzić do jej pokoju.

Najdzikszy nawet człowiek nie śmie podnieść ręki na bezbronną słabość; to też i opryszek z ostrożnością, po cichu, wszedł do sypialnej komnaty.

W kołysce spoczywało nowo narodzone dziecko; opryszek uspokajał chorą, żeby się nie bała, że on jej nic nie zrobi, a przypatrując się nowo narodzonemu dziecięciu, prosił, żeby mu nadano jego imię Aleksy, poczem równie ostrożnie i powoli oddalił się ze dworu wraz z bandą swoją.

Odetchnęli wszyscy swobodniej. Janusz i szafarka dokonczyli ostatnich słów godzinę, które przez cały czas obecności zbójców odmawiali i radośnie pobiegli do łóża pani, która na drugi dzień przybyłemu mężowi, pokazując szczęśliwie urodzonego synka, opowiedziała zarazem całe zdarzenie z opryszkami. Pan Karpiński, wysłuchawszy tak strasznej powieści, podziękował Bogu i tem czulej uściśnął żonę, syna i wiernego sługę Janusza, którego odtąd do własnej rodziny zaliczał.

Wkrótce potem Dobosz wraz z całą bandą pojmany i śmiercią ukarany został.

Dziecie, w jego obecności urodzone, zasłynęło kiedyś w Polsce całej jako wielki poeta. Panowie i lud śpiewają do dzisiaj jego pieśni i nie ma nikogo w naszym kraju, kto by nie znał owych ślicznych modłów porannych:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon Boże wielki!

albo wieczornych:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy.
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali.

lub też :

Dosyć Boże deszcze lały,
Twoje się dzieci zebrały.
Proszą od Ciebie pogody,
Błyśnij słońcem, spłyną wody.
wreszcie owe śliczne słowa do Boga :

„Bo najmiłszą Ci się zdała,
Pracującej ręki chwała.“

Imię Janusza i wspomnienie jego pocziwego
postępu przechowały się aż do dzisiaj, stano-
wiąc najpiękniejszą spuścizną jego dzieci. O ga-
jowym i karbowym nie mówmy już lepiej.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Zagadka.

Odgadnąć znaczenie sześciu następujących
wyrażeń, wypisać je pod sobą, a pierwsze ich
litery, razem zestawione utworzą nazwę jednego
z dużych miast w Królestwie Polskiem :

1. Drzewo leśne.
2. Część uprzęży.
3. Warzywo.
4. Narzędzie żelazne.
5. Wielki ptak.
6. Ziemia uprawna.

II

Zagadka.

Stoi gaj, pod gajem migaj, pod migajem sa-
paj, pod sapajem chapaj, pod chapajem lykaj.

III

Szarada.

Pierwsze z trzeciem — leśne drzewa
Z owocem kołczatym,
Co smakuje znakomicie
Świńkom nierogatym.
Drugie z trzeciem — to zwierzęta
Po rzeczkach żyjące,
Czarne, brzydkie, nieruchawe,
A wspak pływające.
Wszystkie — z wiosną w swym ogrodzie
Sadź i flancuj żywo,

Po to, miły gospodarzu,
Smaczne jest warzywo.

Za dobre rozwiązanie powyższych łamigłówek
przeznaczamy 3 nagrody. Los rozstrzygnie komu
nagrody przypadną.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 37.

I

Łamigłówka sylabowa.

S a m u M
T o k i O
A kwiz gran
N iesiecki
I l l e n a U
S okrates S
Ł a z a r Z
A r a K
W o j s k O

Stanisław Moniuszko.

II

Szarada.

Ty — gry — sy.

III.

Zagadka.

Kalisz — Łiszka.

Dobre rozwiązanie wszystkich łamigłówek z
numeru 37 „Aniola Stróża“ nadesłali: Jan War-
rass z Tyłowa. Augustyna Jagalska z Sławoszy-
na, Bolesław Świtała z Holzbüttgen w Nadrenii,
Teodor Ceynowa z Karlikowa, Stefan Grzenia z
Świecia, Stanisław Michałowski z Poznania, Cze-
sław Kaczmarek z Poznania, Zygmunt Maskuliń-
ski z Długiej Gośliny, Leokadya Dobek z Wiel-
kiego Lutowa i L. Reiter z Lampy.

Dobre rozwiązanie zagadki pierwszej i dru-
giej nadesłała Franciszka Szramka z Starej Ki-
szewy.

Nagrody otrzymali przez wylosowanie: Ste-
fan Grzenia z Świecia, Leokadya Dobek z W.
Lutowa i Bolesław Świtała z Holzbüttgen w Na-
drenii.

